

Leo Hirsch

PRZY GRANICY

fragment powieści
tłumaczenie Roman Dziergwa

ROZDZIAŁ I

Na murku siedział długi Ock, wymachując bocianimi nogami i pokazywał język wyciągając go tak daleko, jak tylko mógł.

Na dole na podwórzu wyprawiał harce tuzin małych chłopców, najstarszy z nich w wieku ledwie czternastu lat, najmłodszy co najwyżej czteroletni. Najmłodszy wybierali z piasku niewielkie kamyczki, więksi rzucali nimi chcąc trafić długiego Ocka w język.

Najczęściej chybiaли celu, wtedy długi Ock wybuchał potężnym i nieartykułowanym, szyderczym śmiechem. Gdy jednak kamyczek trafił długiego Ocka, błyskawicznie wciągał język i wypluwał niewielki kamyk na głowę chłopca, który nim rzucił, a długi Ock trafiał zawsze. To znaczy, trafił trzy razy, gdy chłopcy usłyszeli z tyłu za sobą, na wymarłej podczas dnia uliczce, kroki i rozluźnili uwagę, toteż również Ock zrobił się niespokojny, odwrócił się ostrożnie i ujrzał adwokata Goldfinka, który najwyraźniej zmierzał w stronę małej synagogi naprzeciwko muru.

Długi Ock był silny jak niedźwiedź, co tyczyło jego mięśni, natomiast gdy chodziło o głowę, to był głuchoniemy i mógł nawiązywać rozmowy jedynie z dziećmi, jednak to, że bogaty i wytworny adwokat Goldfink o tej porze dnia i w zwykły dzień tygodnia chciał wejść do małej synagogi, nawet samemu długiemu Ockowi wydało się dziwnym faktem.

Adwokat był przywódcą niewielkiej grupki bogatszych kupców i inteligentów, którzy mieli wzgląd na dobrego pana Boga o tyle, o ile w wielkie święta zwykli go byli fatygować przez jedną godzinę i dlatego sądzili, że z tego tytułu mogli domagać się od niego także pewnych względów. Dostojnym gestem adwokat położył swoje duże, ledwo przypalone cygaro na płocie, otaczającym wąski ogródek wokół małej synagogi¹ i wszedł do środka.

W tym samym momencie długi Ock, którego małe czarne oczka błyszcząły, którego oleistoczarne włosy połyskiwały nad niskim czołem i którego gliniastożółta twarz Eskimosa zdradzała najwyższe napięcie, spuścił się z murku, przebiegł kilkoma susami przez uliczkę, wspiął się

¹ Prawdopodobnie chodzi tutaj o nieistniejący obecnie, mniejszy budynek, który znajdował się obok ostrowskiej synagogi i był wykorzystywany w swoim czasie przez ostrowską gminę żydowską do celów edukacyjnych i modlitewnych.

z małą zręcznością ponad dwumetrowym murem i usiadł na dziedzińcu pomiędzy dwunastoma młodymi chłopcami, którzy już zaczęli obmyślać i naradzać się nad inną zabawą.

– Daj mi cygaro – powiedział jeden z nich do długiego Ocka i równocześnie pewnego rodzaju językiem migowym dał mu do zrozumienia, czego chciał. Jednak długi Ock wstrząsnął jedynie bojaźliwie głową, wydał skowyczący dźwięk i odwrócił się w kierunku muru. Za żadną cenę nie chciał wypuścić cygara z ręki. Jeszcze się żarzyło - obwąchał je, wciągnął z rozkoszą jego mocny aromat, obrócił je na wszystkie strony, odwrócił się znowu do chłopca i pokazał jak wkłada do ust grube, okrągłe i długie cygaro i jak się zaciąga, cudownie i głęboko – nagle zakrztusił się, dmuchnął, wypluł, dmuchnął powietrzem, zakaszał, a młodzi zarychli ze śmiechu i zajodłowali.

Gdy długi Ock znów mógł normalnie oddychać, odwrócił się smutnym i urażonym ruchem w kierunku muru. Całe jego żółtawo-gliniaste oblicze pokryło się zirytowanym uśmiechem, Spróbował zgasić cygaro, nie niszcząc go, aby kolejny raz zapalić je przy jakiejś sposobniejszej okoliczności. Ale obojętnie jak mocno dmuchał w jego tłący się żar, tak długo nie gasło, a nawet paliło się coraz lepiej.

Dwóch chłopców obserwowało jego daremnie „miłosne” starania przez chwilę z wielką uwagą, a potem dojrzał w ich głowach szaleńczy plan. Jeden wyszeptał drugiemu - choć długi Ock i tak nic nie rozumiał - coś na ten temat do ucha, ten przekazał informację dalej i w kilka sekund po tym cała banda wypadła z dzikimi okrzykami z podwórza szkolnego. Długi Ock pozostał całkiem sam przy murze. Był on jednak namiętnie zajęty „swoim” cygarem, którego żar okazał się zbyt trwały, aby udało mu się zauważyć zniknięcie dzieci,

Adwokat Goldfink wszedł do małej synagogi i zamiast zebranej gminy, znalazł w niej jedynie starego Michenschwitza, który był zajęty zamiataniem. Ogólnie adwokat uważał się za zbyt wytwornego, aby rozmawiać z takimi ludźmi, jednak w tym przypadku było inaczej, gdyż Michenschwitz, który był małym człowieczkiem o małej głowie z całkiem sporym wąsem, rozmawiał z nim.

Adwokat wyznał mu, że upłynęła rocznica, od śmierci jego matki minął rok i powinien (oczywiście nikt nie mógł go do tego zmusić, jednak tak

nakazywała pobożność) w dzień śmierci odmówić kadsisz². Chciał to zrobić już poprzedniego dnia wieczorem, jednak zapomniał. Chciał naprawić to później, przy porannej modlitwie, jednak zaspał. A teraz na modlitwę południową, którą podczas tygodnia łączono z modlitwą wieczorną, przyszedł o godzinę za wcześnie.

Stary Michenschwitz dowiedział się o tym dzięki krzyżowemu przesłuchaniu prowadzonemu bez litości, a pierwszorzędny adwokat, który znał odpowiedź na każde pytanie, poczuł się przy tym niczym jakiś głupawy chłoptuś. Nie chciał pójść do domu, aby uniknąć sprzeczki z żoną, która nie dopuszczała, by kiedykolwiek Święta Bożego Narodzenia mogły się u nich odbyć bez choinki, a Wielkanoc bez kolorowych pisanek dla dzieci, jednak po przyjsciu na żydowskie nabożeństwo kręcił nosem. W końcu udało mu się uwolnić od towarzystwa starego Michenschwitza w ten sposób, że podarował mu cygaro zapewniając, że wykorzysta spokojniejszą godzinę, aby odwiedzić grób swojej matki na pobliskim cmentarzu.

Ledwo wyszedł z małej synagogi, gdy przypomniał sobie znów o cygarze. Szukał go, ale nie było go ani na płocie, ani nie spadło na ziemię. Musiał je ktoś ukraść. Adwokat był teraz tak zirytowany wielką ilością rozczarowań, że przestał już myśleć o grobie swojej matki, lecz postanowił rozprawić się ze złodziejem cygara. Kradzież popełnioną wobec adwokata uważał za podwójne naruszenie prawa. Ale kto był złodziejem i gdzie był? Na uliczce nie widać było żadnego człowieka. W jaką stronę mógł się zwrócić? Pan Goldfink doszedł uliczką do jej końca, skrzył w ulicę Cesarską³ i pośpieszył w kierunku remizy strażackiej lustrując oczami każdego przechodnia w poszukiwaniu cygara.

Wtedy wpadł mu w oczy fantastyczny pochód, składający się z dużej gromadki młodych chłopców, krowy, wielkiej sikawki pożarowej i mnóstwa mniej lub bardziej dorosłych uczestników i gapiów. Mianowicie dwunastka chłopców z rodziny Kiwi, którzy wcześniej się bawili na podwórku szkolnym z długim Ockiem, natarła na remizę, każdy z nich założył hełm strażacki a niektórzy nawet mundury strażackie, zaprzęgli do wozu stojącą

² Kadsisz - modlitwa będąca immanentną częścią składową zbiorowych modłów żydowskich, odmawiana przez mężczyzn przez rok po śmierci bliskiego członka rodziny oraz w każdą rocznicę jego zgonu.

³ Nazwa ulicy jest fikcją powieściową autora. W opisywanym tutaj przedziale czasowym nie istniała w Ostrowie ulica o takiej nazwie, choć w ówczesnym państwie pruskim tego rodzaju nazwy (ul. Cesarska - Kaiserstrasse) nadawano często głównym ulicom.

w pobliżu krowę, i zmusili ją, aby dała sobie założyć uprząż i uzdę. Wtedy wyciągnęli wszyscy razem przy pomocy krowy wielką sikawkę i oto teraz sunęli nią ulicą Cesarską. Aż do uliczki mali siedzieli na wozie sikawkowym w szyku typowym dla straży ogniowej i dzwonili w dzwony alarmowe, ponieważ krowa niezbyt szybko ruszała z miejsca, dzwony nie mogły się same uruchomić. Trzech chłopców wdrapało się na kozioł, posprzecza-
li się o bat wznosząc wielki hałas. Dwójka mniejszych siedziała na samym tyle wozu i ze strachu była bliska płaczu.

Dziesięcioletni Kiwi kroczył przed krową. Miał w ręku pęk koni-
czyny i trawy i tylko dzięki temu trikowi udało mu się spowodować, żeby krowa w ogóle chciała ciągnąć sikawkowy wóz. Krowa ciągle wrywała się do zielonej paszy, którą chłopiec uparcie trzymał jej przed nosem. Ob-
raz był tym bardziej niesamowity, że Jona Kiwi przebrał się za strażaka, przy czym określenie „strażak” było lekką przesadą, ponieważ już ciem-
noniebieska kurtka z błyszczącymi metalowymi guzikami sięgała mu ni-
czym zbyt obszerny płaszcz aż do pięt, a bombastyczny hełm do tego okrywał jeszcze jego ramiona. Aby trochę nadać werwy tej całej sprawie, a także zagłuszyć płacz małych dzieci i kłótnię większych, jeden z chłop-
ców z rodziny Kiwi zaintonował pieśń, a ponieważ nie znał żadnej, któ-
ra by pasowała lepiej, zaśpiewał szabasową pieśń proroka Eliasza⁴ o wyj-
ściu z Egiptu i natychmiast włączyła się do pieśni pozostała jedenastka; wydawało się, jak gdyby krowa poprawiła jeszcze swój apetyt i sikawka wraz z wszystkimi wiadrami, wężami i dziećmi hurkotała jeszcze szybciej po wyboistym bruku.

Okna na ulicy Cesarskiej momentalnie się otworzyły, nikt nie mógł sobie wytłumaczyć, co się działo, nikt nie mógł się oderwać od o tej oryginalnej sceny, a jednak nikt nie odważył się wybuchnąć śmiechem, choć także nikt nie wierzył w prawdziwy pożar, a gdy wóz sikawki skręcił w uliczkę, znalazło się tak wielu ciekawskich, że tłoczono się depcząc sobie po stopach.

Tutaj niezbędna jest już lub będzie niezbędna wiarygodna osoba prawnika, pomyślał adwokat Goldfink i wmieszał się pomiędzy dziwiący się tłum. Był to moment najwyższego napięcia, ponieważ wóz-sikawka

⁴ Elias - jeden z proroków Starego Testamentu; jego imię tłumaczone jest jako: „*Bogiem jest Jahwe*”, „*moim Bogiem jest Jahwe*”. Jest świętym Kościoła katolickiego, prawosławnego, koptyjskiego, ormiańskiego i syryjskiego.

zatrzymał się przed tylną bramą na dziedziniec, *vis à vis* małej synagogi a chór dwunastu chłopców odśpiewał już ostatnią zwrotką pieśni o proroku Eliaszu. Natychmiast dwójka z nich, Joel i Amos Kiwi zeskokczyli z kozła, wspięli się nad murem i otwarli od wewnątrz szeroką bramę na podwórze. Teraz gapie zaczęli się jeszcze gęściej tłoczyć, krowa zżarła mało uważnemu Jonie Kiwi do końca cały zapas z ręki, tak że dwunastka z góry musiała poniechać zamiaru wepchnięcia sikawki na dziedziniec.

Wtedy Hosea Kiwi przekazał swojemu bratu Jonie bat, zsiadł także z kozła, z pomocą Obadji podłączył jeden koniec węża sikawkowego do pompy za bramą dziedzińca, dokręcił go końca i kazał Joelowi i Amosowi pompować wodę, podczas gdy on sam ze swoim adlatusem⁵ Abadja zachował w dłoni drugi, przeznaczony do polewania wodą koniec węża i zwrócił się do rogu ulicy, gdzie długi Ock ciągle jeszcze toczył swój bohaterski bój z żarzącym się cygarem.

Oczywiście napłynęli dalsi gapie, przestraszony długi Ock wznosił wzrok nie rozumiejąc, co ciżba chce od niego i przycisnął się coraz bardziej do muru. Wtedy Hosea Kiwi dał mu do zrozumienia znakami, że ma cygaro unieść w górę w powietrze i wytłumaczył równocześnie wszystkim otaczającym ich przy w kilku słowach, jak trudno Ockowi poradzić sobie samemu z ugaszeniem swojego cygara.

Gdy adwokat usłyszał słowo cygaro, w mysiej pułapce jego mózgu zapadły drzwiczki, i gdy długi Ock pojął, co od niego chciał Hosea Kiwi, wtedy podniósł automatycznie cygaro w górę. W tym samym momencie Obadja nacisnął na kran sikawki, a gęsty lodowaty strumień wody wystrzelił z niej, trafił najpierw długiego Ocka w ramię, który je natychmiast, z grymasem na żółtej twarzy Eskimosa ściągnął w dół ratując niemniej dzięki temu cygaro, które nawet nie zostało zmoczone i tliło się dalej, wydając aromat. Teraz jednak strumień wody trafił w tłum, chłodząc szybko wszelką ciekawość, ludzie krzyczeli, śmiali się, przeklinali, grozili, deptali sobie po stopach, szturchali i zanim się obejrżeli, rozpoczęły się dzikie bijatyki.

Obadja chciał znów zakręcić kurek, jednak nie udało mu się tego dokonać, a im bardziej się o to starał, tym silniej tryskała woda z grubego, czerwonego węża. Wyczerpany chciał spuścić wąż na ziemię, wtedy strumień uderzył go w kolana i rzucił na ziemię, tak, że z ledwością znów

⁵ Adlatus - przyboczny, pomocnik, zaufany (od łac. „od boku, z boku”).

stanął na nogi, aby nie zostać do tego jeszcze zdeptanym i z węzem uniesionym w górę. Zakrzyknął do swoich braci, aby przestali pompować wodę, jednak ogólna wrzawa pochłonęła jego słowa, i pierwszą rzeczą, jaką mógł wyraźnie usłyszeć, był piskliwy okrzyk „Policja!”

W dwie minuty potem uliczka i podwórze szkolne, którego brama pozostawała szeroko otwarta, zupełnie opustoszały. W bramie stał wóz sikawkowy, przed nią ogłupiała i zmęczona krowa. Obok wozu leżał cały stos hełmów strażackich i mundurów. Ciekawy, jednak mało rozumiejący całą sytuację, stał długi Ock w pewnej odległości. Wyraźnie zdecydował się na wypalenie cygara aż do samego końca delektując się nim przy każdym zaciągnięciu. Adwokat Goldfink podszedł do niego mówiąc:

– Skąd pan ma to cygaro?

Grymas wydawał się wmontowany w twarz Ocka, doprowadził on adwokata do wściekłości, jednak Ock nie zareagował także za trzecim razem. Za to stary Michenschwitz z małą głową i wielkim wąsem stał obok adwokata mówiąc:

– Wszystkiego najlepszego, panu adwokatowi, ale za przeproszeniem ta łążęga nic nie słyszy. Czy może mam mu to wytłumaczyć?

Adwokat niechętnie zaprzeczył i sam próbował dogadać się na migi. Wskazał na cygaro trzymając obydwie dłonie przed sobą w pytającym geście. Długi Ock podązał za jego gestami pokazując następnie swoim palcem wskazującym na czoło adwokata uderzając w nie kilkakrotnie. Oznacza to w ogólnie stosowanym języku migowym:

– Nie jesteś przy zdrowych zmysłach – jednak nie było sprawą wykluczoną, że długi Ock miał coś innego na myśli.

Stary Michenschwitz robił takie wrażenie, jak gdyby nic nie widział, skubnął Goldfinka za rękaw marynarki i powiedział:

– Wszystkiego najlepszego panu adwokatowi, ale już czas pójść na modlitwę

Przeszli znów do małej synagogi i nie widzieli już, jak przykuśtykał młody człowiek o dwóch kulach, którego twarz była tak smutna, że nawet widok krowy ciągnącej sikawkę nie był w stanie wywołać u niego uśmiechu.

Wtedy otworzyła się ruchoma krata stałego, spróchniałego kurnika w narożniku szkolnego podwórka, gdacząc wyszła z niego kura a potem po kolei zakurzona i pokryta pierzem dwunastka chłopców z rodziny

Kiwi. Otrzeptywali pospiesznie ubrania z piór, podbiegli z pokorą do wozu strażackiego, spakowali hełmy i mundury i pełni wstydu i zapału pomogli krowie ruszyć z miejsca ciągnąc ją i przesuwając. Kwadrans później wszystko znalazło się z powrotem w remizie, także kurę zaprowadzono przepisowo na jej miejsce i tylko na modlitwę nie odważyli się pójść.

– Mieliliśmy sporo szczęścia – powiedział Obadja do innych – bo policjant prawdopodobnie tak się nas bał, jak my jego.

Jednak czternastoletni Sacharia zapiszczał:

– Wcale się nie bałem! – i wskazał na długiego Ocka, który w międzyczasie położył się do snu w kurniku.

Zrobiło się ciemno, mężczyźni wrócili z modlitwy, długi stół rodziny Kiwi był nakryty, kantor Kiwi wrócił do domu, jego żona spytała się o dzieci, nie widział żadnego z nich.

– Gdy zaczynaliście się modlić, przyszła ich cała dwunastka z kurnika i wszystko ładnie i czyściutko odnieśli z powrotem do remizy. Widziałam wszystko zza firanki. Oby tylko nikt tego nie zgłosił.

– Byłem już na posterunku i sam to zgłosiłem. Jednak wachmistrz tylko się ubawił zimnym prysznicem, a żadnej szkody nie wyrządzono. Przymknij na to oko. W takim razie nie mówmy już o tym, Rachel.

– Ale Markus, a jeśli oni najpierw tam byli!

– Nie będą się pokazywać. Chodź Rachelo, zawołaj ich.

Pani Kiwi wyszła z drzwi kuchni na podwórko szkoły i zawołała:

– Hosea, Joel, Amos, Obadja, Jona, Micha, Nachum, Habakuk, Zephania, Haggai, Secharia i Malechai, chodźcie na kolację!

Pani Kiwi nie wiedziała, skąd przyszli, jednak w jednej chwili już tu byli, przemaszerowali gęsiego obok matki, żaden z nich nie zapomniał pocałować jej w rękę, gdy szli do zbiornika z wodą, myli ręce, podczas ich wycierania mruczeły modlitwę i siadali przy długim stole, u którego szczytu zajmowali miejsca dziadkowie Moritz i Dora Kiwi. Ojciec siedział już przy drugim końcu; podczas gdy mama postawiła na stole wielki gar ciepłej strawy, a dwunastu chłopców po kolei zasiadało przy stole, dziadek wyszeptał babci do ucha:

– Gdyby coś takiego chciały zrobić moje dzieci!

– Ale nie będziesz chciał mi chyba o tym opowiadać – szepnęła babcia dziadkowi do ucha – że ty – uchowaj Boże – tknąłeś jakieś dziecko!

– Ależ Dorciu – powiedział głośno dziadek.

– Ależ Morciu – powiedziała babcia głośno.

A dzieci śmiały się głośno, talerz i łyżki aż klekotały, a wszyscy byli głodni i wszyscy się najedli do syta, a kantor wystukiwał palcami lewej ręki na blacie stołu pieśń proroka Eliasza.

ROZDZIAŁ II

Można jeszcze było rozpoznać litery, które co najmniej pół wieku temu dziadkowie obecnych uczniów tercji powycinali w ławkach scyzorykami; tak stare były ławki w gimnazjum małego miasta przy granicy. A ponieważ jedynie nauczyciele nie zwykli byli posiadać scyzoryków, tylko katedry nauczycielskie sprawiały jeszcze wrażenie nowych, choć po profesorach, którzy zajmowali za nimi miejsca, w równie małym stopniu nietrudno było nie rozpoznać runów i i zygzakowatych zmarszczek, wykarbowanych na nich także od niemal pół wieku zajmowania się kolejnymi pokoleniami uczniów.

Z przodu w pierwszej ławce siedział syn rektora, mały łobuz, obok niego podobni do siebie jak dwie krople wody bliźniacy Barabaszowie, w drugiej ławce synowie niemieckich urzędników, w trzeciej kilku polskich synów szlachty, a wśród nich Hosea, nazywany „małym”, chociaż był najstarszym z dwunastu dzieci rodziny Kiwi, potem polscy wychowankowie konwiktu, Niemcy i pozostali Żydzi.

– Barabasz senior! – wywołał do odpowiedzi profesor.

Wywołany Barabasz senior kopnął pod ławką młodszego brata-bliźniaka w dołek podkolanowy, szybko podniósł się Barabasz junior, podczas gdy profesor kontynuował:

– Proszę zadeklamować zadany angielski wiersz w wymowie, która podałem wam wczoraj.

Barabasz junior wyrecytował więc w wyraźnie szkolnej wymowie *My heart's in the highlands*⁶. Profesor przerywał mu ciągle korygując niuanse wymowy. Polscy uczniowie w tylnych rzędach, którzy w najmniejszym stopniu mieli wycucie języka angielskiego, bawili się najbardziej. Barabasz junior kopał przy każdym przerwaniu odpowiedzi stopą swojego starszego o kwadrans brata, który ostrożnie próbował mu podpowiedzieć korzystając z książki, syn rektora także podpowiadał, lecz zupełnie nie do rzeczy.

Klasa była na jak najlepszej drodze, aby dać się wprawić w dobry humor, gdy ktoś zapukał. Profesor dał znak deklamującemu Barabaszowi juniorowi, aby przerwał i powiedział dźwięcznym głosem:

⁶ Cytat z wiersza Roberta Burnsa (1789).

– Proszę wejść!

Rektor wszedł do klasy przytrzymując jeszcze drzwi dla wchodzącego za nim człowieka. Zrobiło się zupełnie cicho, tylko syn rektora, który wychylił się poza swoją ławkę z ciekawości, przywitał swojego ojca wbrew wszelkiej dyscyplinie półgłosem:

– Dzień dobry, tato!

Na co ojciec marszcząc czoło skarcił go jednym spojrzeniem i poprosił uprzejmie młodego człowieka do środka.

Rozpoczęło się ciche zgadywanie, czy ten nowy jest nauczycielem, czy uczniem. Wszedł o kulach. Rektor był zmuszony specjalnie go zachęcać do każdego dalszego kroku. Podczas gdy syn rektora schlebując mu doskoczył i zamknął za nim drzwi, zaczęło się przedstawienie. Nowy nazywał się Michael Boskin.

– Na końcu n? – pytał profesor. Nowy milczał. Rektor potwierdził.

Nowy nie patrzył się na nikogo. Jego oczy błędnymi niespokojnie tu i tam jak myszy w pułapce, miał czternaście lat; można było równie dobrze założyć, że miał trzydzieści. Rektor zarekomendował go jako nowego kolegę. W ostatniej ławce znalazło się jeszcze miejsce dla niego, w kącie przy oknie. Rektor odszedł.

Nowy odstawił swoje kule pod okno i usiadł. Profesor o coś go zapytał, nowy kolega odpowiadał tylko bojaźliwym milczeniem. Wtedy profesor zwrócił się znowu do reszty klasy.

– Barabasz junior! – zawołał – Wyrecytuj teraz drugą zwrotkę wiersza – w wymowie, którą podałem wczoraj!

I znów podniósł się Barabasz junior, który przedtem jako Barabasz pierwszy zadeklamował pierwszą zwrotkę i chciał deklamować drugą, gdy profesor spojrział na niego ostro i trochę niepewny, zapytał:

– Jest pan przecież Barabaszem juniorem? Czy przedtem kolej była na Barabasza juniora?

– Przedtem to ja odpowiadałem! – podskoczył Barabasz senior.

– Który z was obu najpierw odpowiadał? – spytał profesor syna rektora.

Dziwnym sposobem zawiódł syn rektora, uważany w klasie za urodzonego denuncjatora, który pozostał niemy z otwartymi ustami.

– Siadać – powiedział szorstko profesor.

Teraz wszyscy siedzieli.

– Barabasz – profesor zaczął od nowa, a bracia jak wańki-wstańki znów się podnieśli – który z was jest Barabaszem seniorem?

I jak na scenie w teatrze, jak to w życiu szkolnym przeważnie się dzieje, rozbrzmiał w tym momencie przenikliwy dzwonek na dużą przerwę, wszyscy podnieśli się z miejsc, a profesor potrząsając głową opuścił klasę, w której natychmiast zrobiło się niezwykle głośno; odpakowywano pajdy chleba, rozszalał się hałas.

Wokół „Nowego” utworzył się nieśmiały krąg. Ponieważ „Nowy” zachowywał się pasywnie, prawie nikt nie śmiał go wypytywać. Wreszcie podszedł syn rektora i poprosił nowego, aby pożyczył mu kule. Tylko raz. Tylko na minutę. Chciał chociaż raz wypróbować, jak chodzi się o kulach. Nowy nie zrobił żadnej miny i nic nie powiedział. Wtedy syn rektora wziął po prostu kule i spróbował poruszać się przy ich pomocy nie dotykając stopami ziemi. Mały Kiwi, który chciał w tym przeszkodzić, krzyknął:

– Zostaw to!

Wkrótce wywiązała się szarpanina o kule i jedna z kul rozleciała się. „Nowy” nawet się nie skrzywił.

Syn rektora poszedł do biura swojego ojca, który przebywał w pokoju nauczycielskim z nauczycielami i ukradł trochę pieniędzy z szufladki biurka. Gdy szkolny dzień dochodził do końca, nowy uczeń znów mógł korzystać z naprawionej kuli.

Innym razem i oczywiście znów podczas dużej pauzy, gdy padało i musieli pozostać w klasie, klasa posprzeczła się o Boskina, nowego ucznia, który jak zwykle w milczeniu siedział sobie spoglądając w swój zeszyt, który mógł się już pochwalić całkiem niezłą notą.

– Rusek! – zaklął syn rektora i splunął na podłogę.

– Jego nazwisko jest francuskiego pochodzenia – huknęła na to jeden z Barabaszów, po czym obaj Barabaszowie wlepili wzrok w powietrze takim samym głupawym wyrazem twarzy i nikt nie mógł ich rozróżnić.

– Przecież tak powiedziałem – kłął dalej chłopak rektora – Cała banda wrogów!

Mały Kiwi, który stanął na ławce, ponieważ był najmłodszy i najmniejszy ze wszystkich, drżał z gniewu. Z całym impetem, do którego było zdolne jego małe i lekkie ciało, rzucił się w dół na syna rektora, tak że obaj głowami uderzyli twardo w drzwi. Syn rektora ustąpił z rykiem.

Mały Kiwi krwawił z nosa nie wydając jednak żadnego dźwięku. Zwyciężył. Skoczył z radości w górę nie troszcząc się już o swoją ofiarę. Syn rektora wyjąc z bezsilnej wściekłości wybiegł, trzymając się za bolącą głowę z klasy; podczas gdy wszyscy uczniowie szyderczo ujadali za nim.

Jednak wkrótce zrobiło się cicho i bojaźliwie. Jaką zemstę obmyśli teraz przeciwko nim ten pokonany hultaj? Takiej klęski nigdy nie zapomni. Czy mały Kiwi nie pomyślał, że wdał się w bójkę z samym synem rektora? Bardzo odważnie było z jego strony, że wstawił się za kulawym Boskinem, ale jednak,,,

– Nasze serdeczne współczucie! – powiedzieli obaj Barabaszowie jakby jednym ustami.

Cała klasa była za Hoseą Kiwi a przeciwko synowi rektora, lecz cóż to mogło pomóc? Poszedł do pokoju dyrektora. Zabeczany syn rektora stał obok biurka. Mały Kiwi usiłował utrzymać w bezruchu swoją twarz obsmarowaną krwią, jednak był przygotowany na najgorsze.

– Hosea Kiwi – powiedział rektor – słyszę, że przedtem mój syn zachował się źle. Chciałbym mu oszczędzić przeproszenia Michaela Boskina i pana przed całą klasą. Ma to uczynić przed wami, przed każdym z osobna. Erich, zaczynaj!

Wtedy syn rektora zabuczał jak mały, uparty chłopaczek

– Na pewno to się nie powtórzy! – i Kiwi podał małemu chłopcu rękę.

– Tak mój chłopcze – uśmiechnął się rektor – gdy teraz wróci pan do klasy, proszę poprosić jeszcze do mnie Boskina. Potem może pan pójść do domu, ma pan dyspensę od ostatniej lekcji. Do widzenia!

Szczególną oznaką życzliwości było, że rektor podał uczniowi rękę. Mały Kiwi powiedział w klasie, o co chodziło i odwrócił się, aby wyjść. Gdy inni nagabywali go o to, co właściwie zaszło, rzekł

– Nic złego! – zaśmiał się i odmówił wszelkiej dalszej odpowiedzi.

Pod pompą na podwórku Hosea zmył sobie twarz; nos już nie krwawił, wyglądała znów całkiem znośnie. W drzwiach kuchennych stał ojciec, jakby go oczekiwał. Gdy przyszedł, ojciec zaśpiewał jeszcze jeden mały tryl i ustawił się, trzymając już szklankę do rytualnego polania wodą z lewej strony przed miednicą, aby głośno i dźwięcznie zawołać:

– Hosea, Joel, Amos, Obadja, Jona, Micha, Nachum, Habakuk, Zephanja, Haggai, Secharia i Malechajku, mój złoty chłopczyku, gdzie się podziewasz?

I już ustawili się za nim, dwanaście główek z loczkami, każdy coraz mniejszy od poprzedniego, wszyscy w jednym rzędku, Hosea, uczeń tercji, zaraz za ojcem. Jednak kantor i rzezak czekał jeszcze chwileczkę, aż ich ojciec doszedł do nich, swoja drżąca ręką starca chwycił szklanekę wody i umył się, szklanekę dając znowu kantorowi, który po polaniu swoich rąk wodą i wymruczeniu błogosławieństwa przekazał ją Hosei, który po polaniu własnych rąk wodą, podał ją dalej Joelowi i tak umyli się, usiedli po kolei przy wielkim długim stole, który był czysty na błysk i wcale nie nakryty po utracjuszowskiemu, u szczytu którego zasiadali jak na tronie dziadkowie, a potem także najmniejszy z nich z pomocą najstarszego wspiał się na swój stołeczek, ojciec wspólnie z dziadkiem przelamali bochenek chleba, wypowiedział błogosławieństwo, a wszystkich dwunastu chłopców odmówiło je razem z nim, a każdy z nich otrzymał kawałek chleba umoczony w soli, każdy coraz mniejszy. A teraz matka, mała grubiutka i pulchna pani Kiwi, wniosła wielką misę z zupą, usiadła obok ojca otrzymując także kawałek chleba i nałała zupy.

Gdy ojciec zapytał najstarszego w rodzinie Kiwi, co się działo na lekcjach w gimnazjum, a matka najmłodszemu pokazała, jak ma dmuchać na łyżkę, aby ostudzić zupę, Hosea opowiedział o nowym koleździe, o którym nic nie wiadomo oprócz tego, że przybył „z tamtej strony”, a więc rosyjskiej strony granicy, który, nawet gdy się go spytać, rzadko zabiera głos, jednak swoje szkolne zadania wykonuje poprawnie, który został odnaleziony w nadzwyczajnych okolicznościach bez przytomności, przewieziony przez granicę zaborów i poddany kuracji w szpitalu niemieckim, jednak ciągle jeszcze porusza się o kulach. Co prawda otrzymuje stypendium, jednak nawet w nadzwyczaj skromnym pensjonacie, w którym jest ulokowany, nie przelewa mu się.

– Przyprowadź go ze sobą, biednego nieboraka – przerwał mu ojciec – przyprowadź go tylko. Niech się naje do syta. Musi płacić za naukę? Stypendium, mówisz? Miałem też stypendium w szkole dla kantorów, nie można było najeść się do syta. Jak uważasz, Rachelo?

– Ale Markus – odpowiedziała mała, okrągłutka matka Kiwi, – jeśli chodzi o mnie, to mógłby tu już dawno być. Habakuk zasieje znów szpinak. Szpinak jest zdrowy. Będiesz dostawał go do końca swoich dni (aż do stu dwudziestu lat w zdrowiu), nic złego. Nie smakuje Ci, Habakuk? Mnie także nie, a moją matkę nieboszczkę trzeba było gonić, aby zjadła

szpinak, ale dlatego też go jem, zobacz Habakuk, teraz będziemy się ści-
gać w jedzeniu, kto szybciej!

Dziadkowie nie mogli się długo z tym pogodzić, że do jedzenia mia-
ła dołączyć jeszcze kolejna osoba.

– Co ten Markus znowu ładuje sobie na plecy! – wyszeptał dziadek babci do ucha – paczka jest już dostatecznie duża jak na jego kawałek garbu.

– Nie będziesz mi przecież chciał opowiedzieć, że postąpiłbyś inaczej – uspokajała go babcia.

– Nie – szeptał dziadek babci do ucha – on to ma od ciebie, nie ode mnie.

– Ależ Dorciu – powiedział głośno dziadek.

– Ależ Morciu – powiedziała głośno babcia.

Następnego poranka cała klasa trzecia wiedziała, że „Nowy” miał się przenieść do rodziny Kiwi. Duch wspólnoty obudził się w chłopcach, a ponieważ chłopiec nie posiadał żadnej własności, zrobili kolektę i zebra-
li coś w rodzaju wiana na drogę. Obaj Barabaszowie musieli utworzyć komitet, aby potem każdy mógł bronić się przed podziękowaniem. A zbierali w gorączkowym pośpiechu, pieniądze i odzież, kilka książek, bębenek botaniczny, szachy z figurami. Ani mały Kiwi ani „Nowy” czy nawet nauczyciele nie mogli tego widzieć, aż po ostatnim dzwonku zaprowadzili nowego w triumfalnym pochodzie do nowego domu. Jeden z Barabaszów dźwigał подарowane manatki, drugi książki i zeszyty a po-
śród nich szedł Boskin jak smutny bohater o kulach.

Tylko syn rektora wymigał się od tego honorowego orszaku.

– Żyd, żyd, hepp, hepp! – wołał za nimi, ale gdy jeden z nich odwrócił się za nim, zniknął już za rogiem.

Potem cała klasa trzecia stanęła na podwórku przed drzwiami kuchennymi do Kiwich. Pomiędzy pompą i drzwiami tłoczyli się, każdy chciał coś zobaczyć, każdy próbował żartować, gdyż pani Kiwi wyszła na zewnątrz, wytarła sobie ręce o niebieski fartuch i przyjęła ich z najbardziej promiennym uśmiechem i najbardziej niezgrabną improwizowaną mową w swoim trudnym i pulchnym życiu:

– Nie chodzi już wcale o jeszcze jednego – zaczęła bezradnie – mam dopiero dwunastu, mam dopiero dwunastu, a teraz jest ich trzynastu i co – zakończyła z ulgą – i po raz pierwszy nie bolało!

Gdy to usłyszeli, wielu chłopców zupełnie zamilkło. Pomędzy nimi i grubiutką, małą matką Kiwi znajdował się jeszcze nowy - Michael Boskin. Nie stał, nie, niemal wisiał pomiędzy swoimi kulami, a jego oczy wypełnione były łzami. Była to pierwsza emocja, która mogli spostrzec po nim, jego wielkie stopy chłopca szorowały zakłopotane po kamieniach brukowych początku podwórza i po podłodze z desek kuchennego progu tu i tam, i zanim się obejrzel koledzy. Ci jeden po drugim odeszli bez żadnej wielkiej sensacji.

– Wydaje się być całkiem przyzwoitym chłopaczkiem – szepnął dziadek babci do ucha.

– Ale jaka piękna twarz chłopczyka – szepnęła babcia do dziadka
– Kto mnie uraczy dobrym kawałkiem...

– Ależ Dorciu – powiedział dziadek żartobliwie głośno i podniósł drżący lewy palec wskazujący.

– Ależ Morciu – pochlebiała mu babcia

– Nie będziesz przecież po dziewięćdziesięciu pięciu latach (w zdrowiu!) zazdrosna. I z prawdziwym współczuciem dodał później – I o kulach musi chodzić!